

Dlaczego jestem tak roztropny

1.

— Dlaczego niektóre sprawy znam lepiej? Dlaczego w ogóle jestem tak roztropny? Nigdy nie rozmyślałem nad problemami, które nie są żadnymi problemami — nie trwonilem siebie. — Na przykład trudności religijnych nie znam z doświadczenia. Zupełnie uszło mojej uwagi, z jakiegoż to względu miałbym być „grzeszny”. Podobnie brak mi niezawodnego kryterium w kwestii wyrzutów sumienia: sądząc po opiniach, jakie się słyszy na ten temat, wyrzuty sumienia nie wydają mi się czymś szacownym... Od żadnego postępku bym się nie odcinał *post factum*, zły efekt końcowy, natomiast wolałbym zasadniczo wyłączyć poza problem wartości. Przez zły efekt końcowy zbyt łatwo traci się właściwe spojrzenie na swe czyny: wyrzuty sumienia wydają mi się swego rodzaju „zło wrogim spojrzeniem”. Coś, co chybiło, tym bardziej cenić, ponieważ chybiło — już raczej taka zasada należy do mojej moralności. — „Bóg”, „nieśmiertelność duszy”, „wybawienie”, „tamten świat”: pojęcia, którym nie poświęcałem uwagi ani czasu, nawet jako dziecko — może nigdy nie byłem na to dość dziecinny? — Ateizmu nie znam jako wyniku, tym bardziej jako wydarzenia: u mnie ateizm wypływa z instynktu. Jestem zbyt ciekawy, zbyt godny zapytywania, zbyt swawolny, by przystać na prostą odpowiedź. „Bóg” jest prostą odpowiedzią, niedelikatnością wobec nas, myślicieli — a nawet prostą zakażeniem wobec nas: nie będziesz myślał!... Zupełnie inaczej zajmuje mnie kwestia, od której „zbawienie ludzkości” zależy bardziej niż od wszelkiego kuriozum

teologicznego: kwestia o d ż y w i a n i a. Można ją, dla wygodnego użytku, tak sformułować: „jak właśnie t y masz się odżywiać, by osiągnąć maksimum siły, *virtù* w renesansowym stylu, cnoty wolnej od moralizatorstwa?” — Moje doświadczenia są tu jak najgorsze; jestem zdumiony, że tak późno dostrzegłem tę kwestię, że doświadczenia te tak późno nauczyły mnie „rozumu”. Tylko niegodziwość naszej niemieckiej kultury — jej „idealizm” — po części wyjaśnia mi, dlaczego właśnie w tej sprawie byłem zacofany aż do świętości. Ta „kultura”, która od początku uczy tracić z oczu r e a l i a, by gonić za całkowicie problematycznymi celami, tak zwanymi celami idealnymi, na przykład za „kulturą klasyczną”: tak jakby łączenie słów „klasyczny” i „niemiecki” w jedno pojęcie nie zasługiwało od początku na potępienie! Więcej jeszcze, działa to komicznie — proszę sobie tylko wyobrazić „klasycznie wykształconego” drezdeńczyka! — Rzeczywiście, **aż po najbardziej dojrzałe lata zawsze ź l e j a d a ł e m** — mówiąc językiem moralności: „bezosobowo”, „altruistycznie”, „wyrzekając się samego siebie”, dla dobra kucharzy i innych chrześcijan. Lipską kuchnią na przykład, podobnie jak swymi pierwszymi studiami nad Schopenhauerem (1865), poważnie zanegowałem swą „wolę życia”. Jak, niewystarczająco odżywiając, dodatkowo popsuć jeszcze żołądek? — lipska kuchnia znalazła, jak mi się wydaje, zdumiewająco trafne rozwiązanie tego problemu. (Mówią, że 1866 rok doprowadził tutaj do zwrotu.) Ale cała niemiecka kuchnia — czegoż nie ma na sumieniu! Zupa p r z e d posiłkiem (jeszcze w weneckich książkach kucharskich z szesnastego wieku nazywana *alla tadesca*); wygotowane mięsiwa, tłusto i mącznie przyrządzone jarzyny; zwyrodnienie leguminy w deskę do prasowania! Jeśli dodać do tego wręcz bydłęcą potrzebę dolewki u starych, ale bynajmniej nie tylko u s t a r y c h Niemców, to łatwo zrozumieć pochodzenie n i e m i e c k i e g o d u c h a — ze smutnych trzewi... Niemiecki duch to niestrawność, z niczym nie potrafi się uporać. — Z moim instynktem kłóci się również a n g i e l s k a dieta, która, w porównaniu z niemiecką, jest swego rodzaju „powrotem do natury”, mianowicie do kanibalizmu; mam

wrażenie, jakby przyprawiała duchowi c i e ż k i e stopy — stopy Angielek... Najlepszą kuchnią jest kuchnia p i e m o n c k a. — Napoje alkoholowe mi szkodzą; wystarczy szklanka wina czy piwa dziennie, by życie stało się dla mnie „padłem łez” — monachijczycy są moimi antypodami. W istocie przeczuwałem to od kołyski, nawet jeśli pojąłem dość późno. Jako chłopiec uważałem, że picie wina, podobnie jak palenie tytoniu, najpierw jest młodzieńczą *vanitas*, a później złym nawykiem. Możliwe, że temu c i e r p k i e m u sądowi współwinne jest również wino z Namburga. By wierzyć, że wino r o z w e s e l a, trzeba być chrześcijaninem, to znaczy trzeba wierzyć, co właśnie dla mnie jest absurdem. Dość osobliwa rzecz: przy skrajnej podatności na działanie niewielkich, mocno rozcieńczonych dawek alkoholu staję się nieomal marynarzem, gdy w grę wchodzi s i l n i e j s z e dawki. Już jako chłopiec potrafiłem tego popić. Podczas jednej wachty nocnej napisać, a do tego jeszcze przepisać na czysto długą rozprawkę po łacinie, z ambicją, by ścisłością i zwartością dorównać mojemu wzorowi, Salustiuszowi, niejednym grogiem najcięższego kalibru podlewając moją łacinę: już wtedy, gdy byłem uczniem czcigodnej Schulpforty, bynajmniej nie stało to w sprzeczności z moją fizjologią, a może również z fizjologią Salustiusza — choć na pewno z czcigodną Schulpfortą... Później, mniej więcej w połowie żywota, zacząłem się coraz radykalniej opowiadać p r z e c i w k o wszelkim „spirytualiom”: ja, z doświadczenia przeciwnik wegetarianizmu, zupełnie jak Richard Wagner, który mnie nawrócił, nie potrafię z dostateczną powagą doradzić wszelkim bardziej d u c h o w y m naturom bezwarunkowej abstynencji. W o d a to robi... Preferuję miejscowości, w których wszędzie można czerpać ze źródła (Nicea, Turyn, Sils); mała szklaneczka towarzyszy mi jak pies. *In vino veritas*: wydaje się, że i tutaj znów nie zgadzam się z całym światem co do pojęcia „prawda” — u mnie duch unosi się ponad w o d a m i... Jeszcze kilka wskazówek z mojej moralności. Obfity posiłek łatwiej strawić niż zbyt skromny. Że pracuje cały żołądek: pierwszy warunek dobrego trawienia. Trzeba z n a ć pojemność swego żołądka. Z tegoż

powodu odradzam długie posiłki, które nazywam przerywanymi ucztami ofiarnymi, posiłki przy *table d'hôte*. — Żadnego podjadania między posiłkami, żadnego popijania kawy: kawa sposepnia. Herbata zdrowa tylko z rana. Mała, ale mocna; bardzo szkodliwa i powodująca całodniowe dolegliwości, jeśli jest choćby o stopień za słaba. Każdy ma tutaj własną miarę, która często zawiera się w nader wąskich granicach. W ostrym klimacie herbata jest niewskazana na początek: godzinę wcześniej należy zacząć od filiżanki gęstego, odtuszczonego kakao. — Jak najmniej siedzieć; nie dawać wiary żadnej myśli, która nie zrodziła się na wolnym powietrzu i podczas swobodnego ruchu — w której swego święta nie obchodziły również mięśnie. Wszelkie przesady pochodzą z trzewi. Przesiadywanie — już raz to powiedziałem — jest prawdziwym grzechem przeciwko Duchowi Świętemu. —

2.

Z kwestią odżywiania najbliższej spokrewniona jest kwestia miejsca i klimatu. Nikt nie może postanowić, że będzie żył w dowolnym punkcie na ziemi; a komu przeznaczone jest rozwiązywać wielkie zadania, które angażują jego całą siłę, ten nawet w tej kwestii ma niewielki wybór. Wpływ klimatu na przemianę materii, jego spowalnianie i przyśpieszanie tego procesu, sięga tak daleko, że mylny wybór miejsca i klimatu może nas nie tylko oddalić od naszego zadania, lecz w ogóle je przed nami ukryć: nigdy go nie dostrzeżemy. Nasz zwierzęcy wigor nigdy nie stanie się na tyle duży, byśmy mogli osiągnąć ową wolność, która przelewa się w najbardziej duchową sferę i pozwala nam stwierdzić: tylko ja mogę tego dokonać... Nawet najmniejsza gnuśność trzewi, gdy przeradza się w zły nawyk, najzupełniej wystarcza, by geniusz stał się czymś średnim, czymś „niemieckim”; już sam klimat niemiecki wystarcza, by zniechęcić mocne, a nawet heroiczne trzewia. Tempo przemiany materii dokładnie odpowiada zwinności *resp.* niedołęstwu *stóp* ducha; sam „duch” jest wszak tylko formą przemiany materii. Proszę tylko zestawzić

miejsca, gdzie żyli i żyją ludzie bogaci duchem, gdzie dowcip, wyrafinowanie, złośliwość stanowiły element szczęścia, gdzie geniusz nieomal z konieczności się zadomawiał: wszędzie tam panuje cudownie suchy klimat. Paryż, Prowansja, Florencja, Jerozolima, Ateny — nazwy te czegoś dowodzą: w a r u n k i e m geniuszu jest suchy klimat, czyste niebo — to znaczy szybka przemiana materii, możliwość dostarczania organizmowi dużych, a nawet ogromnych kwantów siły. Znam przypadek, że znaczący i wolny duch stał się wąskim specjalistą i zasklepionym malkontentem jedynie przez brak subtelnego instynktu w sprawach klimatycznych. Ja sam w końcu mogłem się stać podobnym przypadkiem, gdyby choroba nie przymusiła mnie do rozumności, do refleksji nad rozumnością realnego świata. Dziś, gdy dzięki długiej praktyce wpływy klimatyczne i meteorologiczne potrafię sobą odczytywać jak niezawodnym przyrządem i już podczas krótkiej podróży, choćby z Turynu do Mediolanu, fizjologicznie wyliczam zmianę stopnia wilgotności, z przerażeniem myślę o tym n i e s a m o w i t y m fakcie, że wyjąwszy ostatnie dziesięć lat, niebezpiecznych lat, moje życie zawsze toczyło się w nieodpowiednich miejscach, w których pobyt był dla mnie wręcz z a k a z a n y. Naumburg, Schulpforta, w ogóle Turynia, Lipsk, Bazylea — wszystko feralne miejsca dla mej fizjologii. Jeśli z dzieciństwa i młodości nie mam w ogóle miłych wspomnień, to głupotą byłoby to składać na karb tak zwanych przyczyn moralnych — na przykład bezspornego braku d o s t a t e c z n e g o towarzystwa: brak ten bowiem, nie przeszkadzając mi być pogodnym i dzielnym, również dziś u mnie występuje, tak jak zawsze występował. Ignorancja *in physiologicis* — przeklęty „idealizm” — jest prawdziwym fatum w moim życiu, zbędnym i durnym, czymś, co nie obrodziło niczym dobrym i nie zostało wyrównane, zbilansowane. Następstwami tego „idealizmu” tłumaczę sobie wszelką pomyłkę, wszelkie zbłądzenie instynktu i wszelką „skromność” na poboczach z a d a n i a mojego życia, na przykład to, że zostałem filologiem — dlaczego nie przynajmniej lekarzem lub kimś, kto otwiera ludziom oczy? W bazylejskich latach cała moja dieta ducho-

wa, włącznie z harmonogramem dnia, była zupełnie bezsensownym nadużywaniem niebywałych sił, bez dostarczania nowych, które w jakiś sposób mogłoby pokryć to zużywanie, nawet bez zastanowienia nad zużyciem i kompensatą. Brakowało wszelkiego bardziej subtelного bycia samym sobą, wszelkiego n a d z o r u ze strony jakiegoś władczygo instynktu, było to stawianie się na równi z każdym innym, „wyrzekanie się samego siebie”, zapominanie o dystansie — nigdy sobie tego nie wybaczę. Gdy byłem niemal u kresu — i właśnie dlatego, że byłem niemal u kresu — zacząłem się zastanawiać nad tą fundamentalną nierozumnością swego życia, nad „idealizmem”. Dopiero dzięki c h o r o b i e doszedłem do rozumu. —

3.

Wybór w zakresie odżywiania; wybór klimatu i miejsca; — trzecią sprawą, w której za żadną cenę nie można popełnić pomyłki, jest wybór f o r m y o d p o c z y n k u. Także tutaj, stosownie do stopnia, w jakim dany duch jest *sui generis*, granice dozwolonych, to znaczy p r z y d a t n y c h dlań możliwości, są wąskie, coraz bardziej wąskie. Jeśli o mnie chodzi, to wszelka l e k t u r a jest wypoczynkiem: zatem czymś, co mnie odrywa od samego siebie, co pozwala się mi przechadzać między cudzymi duszami i naukami — co nie może już liczyć na moją powagę. Lektura pozwala mi odpocząć właśnie od mojej powagi. W pracowitym okresie nie ma przy mnie książek: nikomu nie pozwoliłbym mówić czy wręcz myśleć tuż obok mnie. A tym przecież byłoby czytanie... Czy ktoś zauważył, że w chwilach głębokiego napięcia, na jakie cięża skazuje ducha, a w istocie cały organizm, wszelki przypadek, wszelki bodziec zewnętrzny działają nazbyt gwałtownie, „wdzierają się” nazbyt głęboko. W miarę możności należy unikać przypadku, bodźców zewnętrznych; instynktowna roztropność w okresie ciąży duchowej wymaga, by się poniekąd otoczyć murem. Czy pozwolę, by ponad murem potajemnie przeskakiwały c u d z e myśli? — A tym przecież byłoby czytanie... Po okresie pracy i płodności przychodzi pora odpoczynku: zbliż-

cie się, lube, błyskotliwe, rozsądne książki! — Czy będą to niemieckie książki?... Muszę się cofnąć o pół roku, by siebie zdybać z książką w ręku. Jaka to była książka? — Wyśmienite studium Victora Brocharda, *Les sceptiques grecs*, które umiejętnie wykorzystuje również moje laertiana. Sceptycy, jedyny typ, który z a s ł u g u j e n a s z a c u n e k pośród tak dwuznacznej, a może i pięcioletniej nacji filozofów!... Niemal zawsze uciekam się do tych samych książek, w zasadzie nielicznych, do książek, które właśnie dla mnie d o w i o d ł y swej wagi. Wiele i wielorakość czytać: coś takiego nie leży bodaj w moim charakterze — czytelnia przyprawia mnie o chorobę. Wiele czy wielorakość miłować: również coś takiego nie leży w moim charakterze. Do mojego instynktu należy już raczej ostrożność, a nawet wrogość wobec nowych książek, niż „tolerancja”, „*largeur du coeur*” i wszelka inna „miłość bliźniego”... Stale wracam w zasadzie do kilku dawniejszych Francuzów: wierzę tylko we francuską kulturę, wszystko inne, co w Europie zwie się „kulturą”, uważam za nieporozumienie — już nie mówiąc o niemieckiej kulturze... Nieliczne przypadki wyższej kultury, z jakimi spotkałem się w Niemczech, miały francuskie korzenie: przede wszystkim pani Cosima Wagner, zdecydowanie pierwszy ekspert w kwestiach smaku. Że Pascala nie czytuję, lecz m i ł u j ę, jako najbardziej pouczającą ofiarę chrześcijaństwa, powoli mordowaną, najpierw cieleśnie, potem psychicznie, całą logikę tej najbardziej przerażającej formy nieludzkiego okrucieństwa; że mam w duchu, kto wie? może również we krwi, coś ze śmiałości Montaigne'a; że mój smak artystyczny nie bez złości na dzikiego geniusza w rodzaju Szekspira bierze pod ochronę nazwiska Moliere, Corneille'a i Racine'a: wszystko to nie oznacza, by uroczym towarzystwem nie byli dla mnie również najnowsi Francuzi. Nie widzę, w jakim z minionych stuleci można by nałowić tak interesujących, a zarazem tak subtelnych psychologów jak w dzisiejszym Paryżu: na próbę — bo ich liczba nie jest mała — wymienię panów Paula Bourgeta¹,

¹ Paul Bourget (1852–1935) — francuski pisarz (*Essais de psychologie contemporaine*) [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

Pierre'a Loti², Gypa³, Meilhaca⁴, Anatola France'a, Jules'a Lemaitre'a czy też, by wyeksponować jednego z potężnej rasy, autentycznego łacinnika, któremu jestem szczególnie oddany, Guy de Maupassanta. Między nami mówiąc, pokolenie to nawet wołę od jego wielkich nauczycieli, których bez wyjątku zepsuła niemiecka filozofia: na przykład Hegel pana Taine'a, który zawdzięczał mu mylne rozumienie wielkich ludzi i epok. Dokąd Niemcy sięgną, tam psują kulturę. Dopiero wojna „wybawiła” francuskiego ducha... Stendhal, jeden z najpiękniejszych przypadków w moim życiu — wszystko bowiem, co czyni je epokowym, spotkało mnie przez przypadek, nigdy z rekomendacji — jest nieoceniony ze swym antycypującym okiem psychologa, ze swym pazurem faktyczności, który przypomina o bliskości największego faktu (*ex ungue Napoleonem* —); wreszcie jako uczywie ateista, co we Francji jest sporadycznym i niemal niespotykanym gatunkiem — Prosperowi Mérimée *in honorem*... Może nawet zazdrościć Stendhalowi? Zabrał mi najlepszy dowcip ateistyczny, jaki właśnie ja mógłbym powiedzieć: „Jedynym usprawiedliwieniem Boga jest to, że Bóg nie istnieje”... Ja sam powiedziałem gdzieś: „Co dotychczas było największym zarzutem przeciwko istnieniu. Bóg”...

4.

Najwyższe pojęcie o liryku dał mi Heinrich Heine. W minionych tysiącleciach daremnie szukam równie słodkiej i namiętnej muzyki. Cechowała go ta boska złośliwość, bez której nie wyobrażam sobie doskonałości — wartość ludzi, ras oceniam podług stopnia, w jakim potrafią boga z konieczności nie oddzielać od satyra. — A jak Heine włada niemczyzną! Kiedyś będą mówić, że obaj byliśmy najpierwszymi artystami języka niemieckiego — tysiące mil od wszystkiego, co uczynili zeń zwykli Niemcy. Z Byronowskim *Manfredem* muszę być głęboko spokrew-

² Pierre Loti, właściwie Julien Viaud (1850–1923) — francuski pisarz (*Pêcheur d'Islande*).

³ Gyp, właściwie Gabrielle Comtesse Martel de Janville (1850–1932) — francuska pisarka.

⁴ Henri Meilhac (1831–1897) — francuski dramaturg i librecista.

niony: wszystkie te otchłanie odnalazłem w sobie — w wieku trzynastu lat byłem dojrzały do lektury tego dzieła. Brak mi słów dla tych, którzy oglądając *Manfreda*, mają odwagę wspominać o *Fauście*. Niemcy są niezdolni do pojęcia „wielkość”: dowodem Schumann. Ze złości na tego słodkawego Saksończyka skomponowałem własną uverturę do *Manfreda*, o której Hans von Bülow powiedział, że nigdy czegoś podobnego nie widział: że to gwałt na Euterpe. — Gdy szukam najwyższej formuły dla Szekspira, zawsze znajduję tylko tę jedną: że Szekspir pojął typ Cezara. Takiego typu nie można zgadnąć — albo się nim jest, albo nie jest. Wielki twórca kreuje tylko z własnej rzeczywistości — do tego stopnia, że później nie może wytrzymać swego dzieła... Gdy rzucę okiem na mego *Zaraturę*, pół godziny chodzę od ściany do ściany, niezdolny opanować nieznośnego spazmu. — Nie znam lektury bardziej rozdzierającej serce niż Szekspir: ileż człowiek musiał wycierpieć, by tak dalece potrzebować roli trefnisia! — Czy ktoś rozumie *Hamleta*? Nie wątpię, jeno pewność prowadzi człowieka do obłądu... Lecz by tak odczuwać, ponadto trzeba być głębokim, trzeba być otchłanią, trzeba być filozofem... Wszystkich nas zdejmuje strach przed prawdą... By wyznać: mam instynktowną pewność, że ojcem, samoudręcycielem tego najbardziej niesamowitego rodzaju literatury jest lord Bacon: cóż mnie obchodzi żalosna gadanina amerykańskich bałamutów? A zdolność do kreowania najbardziej realnych wizji nie tylko godzi się z najbardziej mocną zdolnością do czynu, do potwornego czynu, do zbrodni — ma ją nawet za przesłankę... Daleko nam do takiej wiedzy o lordzie Baconie, pierwszym realiście w wielkim tego słowa znaczeniu, byśmy mogli wiedzieć, czego dokonał, czego pragnął, czego doświadczył... Do diaska, mo(i) panowie krytycy! Gdybym swego *Zaraturę* ogłosił pod cudzym nazwiskiem, na przykład Richarda Wagnera, nie starczyłoby przenikliwości dwu tysiącleci, by ktoś odgadł, że autor *Ludzkiego, nazbyt ludzkiego* jest wizjonerem *Zaratury*...

5.

Tutaj, gdzie opowiadam, w jaki sposób zwykłem odpoczywać, muszę jeszcze rzec słowo, by dać wyraz swej wdzięczności za coś, co w moim życiu pozwalało mi zdecydowanie najgłębiej i najserdeczniej wypocząć. Czymś takim bez cienia wątpliwości była bardziej zażyła znajomość z Richardem Wagnerem. Całą resztę swych ludzkich więzi zbywam za bezcen; za żadną cenę nie oddałbym ze swego życia dni spędzonych w Tribschen, dni pełnych zaufania, pogody, wzniosłych przypadków — głębokich chwil... Nie wiem, jak innym układało się z Wagnerem: na naszym niebie nigdy nie pojawiła się chmura. — Tym sposobem jeszcze raz wracam do Francji: wobec wagnerystów *et hoc genus omne*, którym się wydaje, że okazują część Wagnerowi, uznając go za podobnego do nich, nie mam argumentów — pozostaje mi jeno pogardliwy grymas... Dla mnie, który w swych najgłębszych instynktach jestem obcy wszystkiemu, co niemieckie, tak iż już sam widok Niemca spowalnia moje procesy trawienne, pierwszy kontakt z Wagnerem był również pierwszym wytchnieniem w moim życiu: odczuwałem, czciłem Wagnera jako zagranicę, jako przeciwieństwo, jako ucieleśnienie protestu przeciw wszelkim „niemieckim cnotom” — My, którzy dorostaliśmy w bagiennej atmosferze lat pięćdziesiątych, z konieczności jesteśmy pesymistami co do pojęcia „niemiecki”; nie możemy być niczym innym niż rewolucjonistami — nie zgodzimy się na sytuację, w której górą jest b i g o t. Jest mi zupełnie obojętne, czy dzisiaj mieni się innymi barwami, czy odziewa się w szkarłat i przywdziewa mundur huzara... Śmiało! Wagner był rewolucjonistą — uciekł przed Niemcami... Artysta jedynie w Paryżu znajduje ojczyznę; *délicatesse* wszystkich pięciu zmysłów artystycznych, jakiej wymaga sztuka Wagnera, wycucie niuansów, psychologiczną *morbidez* można znaleźć tylko w Paryżu. Nigdzie indziej nie mają tej pasji w sprawach formy, tej powagi w *mise en scène* — jest to paryska powaga *par excellence*. W Niemczech nie mają pojęcia o wielkich ambicjach, jakie przyświecają paryskiemu artyście. Niemiec jest dobroduszny — Wagner nie był ani odrobinę dobro-

duszny... Wystarczająco dokładnie wskazałem już (w *Poza dobrem i złem*, ss. 256 i nast.), do jakiego kręgu należy Wagner, w jakim kręgu znajduje najbardziej pokrewne mu dusze: późny romantyzm francuski, ów rodzaj wysoko szybujących i porywających artystów, takich jak Delacroix, jak Berlioz, których *fond* stanowi choroba, w istocie nieuleczalność, sami fanatycy w y r a z u, na wskroś wirtuozii... Kto w ogóle był pierwszym i n t e l i g e n t n y m zwolennikiem Wagnera? Charles Baudelaire, ten sam, który pierwszy zrozumiał Delacroix, typowy dekadent, w którym rozpoznała siebie cała generacja artystów — może też był ostatnim... Czego Wagnerowi nigdy nie wybaczyłem? Że p r z y s t a ł do Niemców — że został Niemcem z Rzeszy... Dokąd Niemcy sięgną, tam p s u j ą kulturę.

6.

Zważywszy wszystko, mogę powiedzieć, że bez muzyki Wagnera nie wytrzymałbym swej młodości. Bo byłem wówczas s k a z a n y na Niemców. Gdy się człowiek chce uwolnić od nieznośnej presji, potrzebuje haszyszu. Śmiało: potrzebowałem Wagnera. Wagner był odtrutką na wszystko, co niemieckie *par excellence* — na trutkę, nie przeczę... Od chwili, gdy pojawiły się wypisy na fortepian z *Tristana* — moje gratulacje, panie von Bülow! — byłem wagnerystą. Jeśli chodzi o wcześniejsze dzieła Wagnera, to uważałem, że są poniżej mnie — zbyt pospolite jeszcze, zbyt niemieckie. Ale jeszcze dziś szukam dzieła, które by się odznaczało równie niebezpiecznym urokiem, równie przerażającą i słodką niezmiernością, jak *Tristan* — na próżno szukam we wszystkich dziedzinach sztuki. Wszelka osobliwość Leonarda da Vinci traci czar, gdy zaczynają rozbrzmiewać pierwsze dźwięki *Tristana*. Dzieło to jest Wagnerowskim *non plus ultra*; Wagner odpoczywał po nim *Śpiewakami* i *Pierścieniem*. Stać się zdrowszym: w przypadku takiej natury jak Wagner jest to r e g r e s e m... Za najwyższe szczęście uważam, że żyłem w sam czas i właśnie wśród Niemców, by być d o j r z a ł y m do tego dzieła: tak daleko sięga we mnie ciekawość psychologa. Świat

jest ubogi dla kogoś, kto nigdy nie był dość chory dla tej „rozko-
szy piekiel”: użycie mistycznej formuły jest tu dozwolone, jest
nieomal wskazane. — Myślę, że lepiej od innych znam ogrom
możliwości Wagnera, niezliczone światy osobliwych uniesień, do
jakich nikt poza nim nie miał skrzydeł; i taki, jakim jest, dostatecz-
nie potężny, by również najbardziej problematyczne i niebezpieczne
rzeczy obrócić na swą korzyść i stać się jeszcze potężniejszym,
nazywam Wagnera wielkim dobroczyńcą mojego życia. Jesteśmy
sobie pokrewni, gdyż cierpieliśmy, również jeden przez drugie-
go, głębiej, niż potrafiliby cierpieć ludzie tego stulecia, i właśnie
to na wieki znów zbliży nasze nazwiska; tak jak wśród Niemców
Wagner z pewnością był jeno nieporozumieniem, tak również ja
z pewnością jestem i zawsze będę nieporozumieniem. — N a j -
p i e r w trzeba by dwu stuleci dyscypliny psychologicznej i ar-
tystycznej, moi panowie Germanowie!... Ale tego nie sposób nad-
robić. —

7.

— Powiem jeszcze, największym wybrańcom na ucho, czego
j a oczekuję od muzyki. Żeby była pogodna i głęboka jak paź-
dziernikowe popołudnie. Żeby była swoista, rozpasana, tkliwa
— słodka kobietka, nikczemna i powabna... Nigdy nie uznaję, że
Niemiec m o ż e wiedzieć, czym jest muzyka. Ci, których nazy-
wa się niemieckimi kompozytorami, z największymi na czele, są
c u d z o z i e m c a m i, Słowianami, Chorwatami, Włochami, Ho-
lendrami — bądź Żydami; a jeśli Niemcami, to Niemcami potęż-
nej rasy, w y m a r ł y m i Niemcami, jak Heinrich Schütz, Bach
i Händel. Ja sam wciąż jeszcze jestem na tyle Polakiem, by za
Szopena oddać całą resztę muzyki: wyjątkiem, z trzech powo-
dów, byłaby Wagnerowska *Idylla Zygfyryda*, może również Liszt,
który nad innymi kompozytorami góruje dostojnymi akcentami
orkiestrowymi; i wszystko, co powstało po tamtej stronie Alp
— p o t e j s t r o n i e... Nie mógłbym się obejść bez Rossini-
niego, a jeszcze bardziej bez m o j e g o Południa w muzyce,
bez muzyki mojego weneckiego *maestro Pietro Gasti*. Gdy mó-

wię „po tamtej stronie Alp”, na myśli mam właściwie tylko Wene-
cję. Gdy szukam synonimu muzyki, zawsze znajduję jedynie sło-
wo „Wenecja”. Nie umiem czynić różnicy między łzami i muzyką,
o szczęściu, o Południu nie umiem myśleć bez dreszczu strachli-
wości.

Na moście stałem
niedawno, w ciemną noc.
Z dali dobiegał śpiew:
złotymi kroplami ciekł
po drżącej tafli wody.
Gondole, światła, muzyka —
upojone, w mrok odpływały.

Moja dusza, gra strun,
nieostrzeżalnie poruszona,
skrycie śpiewała gondolierę,
drząc z błogiego szczęścia.
— Czy słuchał jej ktoś?...

8.

We wszystkim tym — w wyborze pożywienia, miejsca i kli-
matu, wypoczynku — władza instynkt samozachowawczy, który
najbardziej jednoznacznie przejawia się jako instynkt s a m o -
o b r o n y. Wielu rzeczy nie dostrzegać, nie dosłyszeć, nie do-
puszczać do siebie — najpierwsza to roztropność, najpierwszy to
dowód, że się nie jest kimś przypadkowym, lecz koniecznością.
Obiegowym określeniem tego instynktu samoobrony jest „s m a k”.
Jego imperatyw nakazuje nie tylko, by mówić „nie” tam, gdzie
„tak” oznaczałoby „wyrzeczenie się samego siebie”, ale też, by
m o ż l i w i e r z a d k o mówić „nie”. Odrywać się, separo-
wać od sytuacji, w których stale i wciąż trzeba by mówić „nie”.
Jest to rozsądne, ponieważ wydatki na defensywę, nawet naj-
mniejsze, stając się regułą, stając się nawykiem, powodują nieby-
wale i najzupełniej zbędne zubożenie. Naszymi największymi

wydatkami są właśnie te najczęstsze, niewielkie wydatki. Działanie defensywne, niedopuszczanie do siebie to wydatek — nie ludźmy się — to siła roztrwoniona na negatywne cele. W następstwie nieustannej konieczności działań defensywnych człowiek może się stać na tyle słaby, że nie będzie już zdolny do defensywy. — Gdybym wyszedł z domu i zobaczył przed sobą, zamiast cichego i arystokratycznego Turynu, małe miasteczko niemieckie, mój instynkt musiałby się w sobie zewrzeć, by móc odeprzeć wszystko, co by nań napierało z tego płaskiego i tchórzliwego świata. Gdybym zaś zobaczył przed sobą duże miasto niemieckie, ten występki, gdzie nic nie rośnie, gdzie zwleczono wszystko, dobre i złe: czy nie musiałbym się przemienić w jeża? — Ale mieć kolce to marnotrawstwo, wręcz podwójny zbytek, gdy można swobodnie postanowić, że się nie będzie miało kolców, lecz otwarte ręce...

Inna roztropność i samoobrona polegają na tym, by jak najszybciej reagować, by unikać sytuacji i warunków, w których musiałby człowiek niejako zawiesić swą „wolność”, swą inicjatywę i zamienić się w *reagens*. Jako przykład weźmy obcowanie z książkami. Uczony, który w istocie już tylko „przerzuca” książki — filolog o skromnym przerobie dwustu stron dziennie — koniec końców całkowicie traci zdolność samodzielnego myślenia. Gdy nie przerzuca, to nie myśli. Odpowiada na bodziec (— na przeczytaną myśl), gdy myśli — w końcu już tylko reaguje. Wszystkie siły wydatkuje na „tak” i „nie”, na krytykę już sformułowanych myśli — sam nie myśli... Jego instynkt samoobrony zmurszał; w przeciwnym razie broniłby się przed książkami. Uczony — dekadent. — Widziałem to na własne oczy: uzdolnione, bogate i wolne natury już po trzydziestce „zacytane na śmierć”, jedynie zapalki, które trzeba potrzeć, by dały iskrę — „myśl”. — Wczesnym rankiem, przy całej rzeźkości, o jutrzeńce swych sił czytać książkę — to nazywam zdrożnością! — —

9.

W tym miejscu nie sposób już nie podać właściwej odpowiedzi na pytanie, jak się stajemy tym, czym jesteśmy.

śmy. Dotykam nim arcydzieła sztuki samozachowania — arcydzieła egoizmu... Jeśli mianowicie przyjąć, że zadanie, że bycie predestynowanym, przez znaczone do zadania znacząco wyrastają ponad przeciętną miarę, to nie byłoby większego niebezpieczeństwa niż zobaczyć siebie wraz z tym zadaniem. By stać się tym, czym jesteśmy, w najmniejszym stopniu nie możemy przeczuwać, czym jesteśmy. Z tego punktu widzenia swój sens i swą wartość mają nawet pomylki życiowe, boczne drogi i bezdroża, chwilowa zwłoka, „skromność”, powaga roztrwoniona na zadania, które nie łączą się z tym zadaniem. We wszystkim tym może (znaleźć) swój wyraz wielka roztropność, ba, najwyższa roztropność: gdzie „*nosce te ipsum*” byłoby przepisem na zagładę, tam rozumnie zachowuje się ten, kto zapomina o samym sobie, kto mylnie rozumie samego siebie, kto pomniejsza, zawęża, uśrednia samego siebie. W języku moralności: miłość bliźniego, poświęcenie dla innych ludzi i innych zadań mogą stanowić środek ochronny, który służy zachowaniu najbardziej srogiego bycia samym sobą. W tym wyjątkowym przypadku wbrew swej regule i swemu przekonaniu staje po stronie popędów „altruistycznych”: pracują one tutaj w służbie egoizmu, samodyscypliny. — Cała powierzchnia świadomości — świadomość jest powierzchnią — musi pozostawać czysta od wielkich imperatywów. Ostrożnie nawet w stosunku do wielkich słów, do wielkich póz! Wszystko to niebezpieczeństwem, że instynkt zbyt wcześnie „rozumie siebie” — — Jednocześnie w głębi stale rośnie organizująca „idea”, której powołaniem jest panować — która zaczyna rozkazywać, powoli sprowadza z bocznych dróg i bezdroży, przygotowuje poszczególne jakości i sprawności, które kiedyś okażą się niezbędne jako narzędzie całości — po kolei kształtuje wszelkie służebne zdolności, zanim cokolwiek powie o dominującym zadaniu, o „celu” i „sensie”. — Pod tym względem moje życie jest po prostu cudowne. Zadanie przewartościowania wartości wymagało bodaj więcej zdolności, niż ich kiedykolwiek miała jakaś jednostka, zwłaszcza przeciwnych zdolności, które

jednak nie mogły zaburzać, burzyć jedna drugiej. Hierarchia zdolności; dystans; umiejętność rozdzielania, które nie rodzi wrogości; niczego nie mieszać, niczego nie „godzić”; ogromna wielość, która mimo wszystko jest przeciwieństwem chaosu — to było warunkiem wstępnym, na tym polegała długa, tajemna praca i maestia mojego instynktu. Jego wyższy nadzór okazał się do tego stopnia przemożny, że nie miałem choćby tylko przecucia, co we mnie wzrasta — że pewnego dnia wszystkie moje zdolności nagle wystrzeły, dojrzałe, ukazując swą ostateczną doskonałość. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek o coś zabiegał — w moim życiu niepodobna wskazać rysu zmagania, jestem przeciwieństwem heroiczych natur. „Chcieć” czegoś, „dążyć” do czegoś, mieć na oku jakiś „cel”, jakieś „życzenie” — nic takiego nie jest mi znane z własnego doświadczenia. Jeszcze dziś spoglądam na swą przyszłość — daleką przyszłość! — jak na gładką tafłę morza: nie kłębi się na niej żadne pragnienie. W najmniejszym stopniu nie chciałbym, aby cokolwiek się tu zmieniło; i sam nie chciałbym się zmienić. Zawsze tak żyłem. Nie miałem życzeń. Ktoś, kto skończywszy czterdzieści cztery lata, może powiedzieć, że nigdy nie zabiegał o zaszczyty, o kobiety, o pieniądze! Co nie znaczy, iżby mi ich brakowało... Na przykład, pewnego dnia zostałem profesorem — nigdy o czymś takim nawet nie pomyślałem, bom sobie liczył wówczas ledwie dwadzieścia cztery lata. Dwa lata wcześniej zostałem filologiem — w tym sensie, że moja pierwsza praca filologiczna, mój początek we wszelkim tego słowa znaczeniu, przez mojego nauczyciela, Ritschla, został skierowany do druku w jego „Rheinisches Museum” (Ritschl — mówię to z czcią — jedyne genialny uczone, jakiego dotychczas zdarzyło mi spotkać. Cechowało go to urocze zepsucie, jakie wyróżnia nas, pochodzących z Turyngii, i nawet Niemca czyni sympatycznym człowiekiem: by dojść do prawdy, wolimy sekretne drogi. Słowami tymi w żadnym razie nie chciałbym umniejszyć znaczenia mojego bliźszego ziomka, roztropnego Leopolda von Ranke’go...)

10.

W tym miejscu niezbędny jest wielki namysł. Można mnie zapytać, dlaczego właściwie opowiadam o tych drobnych sprawach, które zgodnie z tradycyjnym poglądem są zupełnie obojętne; sam sobie tym szkodzę, zwłaszcza jeśli jestem predestynowany reprezentować wielkie zadania. Odpowiedź: te drobne sprawy — odżywianie, miejsce, klimat, odpoczynek, cała kazuistyka egoizmu — są niepomierne ważniejsze od wszystkiego, co dotychczas uznawano za ważne. Właśnie tutaj trzeba zacząć zmieniać zdanie. Wszystko, co ludzkość dotychczas rozważała z powagą, to bynajmniej nie realności, jeno urojenia, ściślej mówiąc: kłamstwa, zrodzone przez lichy instynkt chorych, w najgłębszym sensie szkodliwych istot — wszystkie te pojęcia „Bóg”, „dusza”, „cnota”, „grzech”, „tamten świat”, „prawda”, „życie wieczne”... Ale właśnie w nich doszukiwano się wielkości ludzkiej natury, jej „boskości”... Wszelkie kwestie polityki, porządku społecznego, wychowania do cna zafalszowano przez to, że najbardziej szkodliwych ludzi uznawano za wielkich — że uczono gardzić „drobnymi” sprawami, to znaczy fundamentalnymi zagadnieniami samego życia... Nasza dzisiejsza kultura jest w najwyższym stopniu dwuznaczna... Niemiecki cesarz paktuje z papieżem, tak jakby papież nie był reprezentantem śmiertelnej wrogości wobec życia!... Budowli, którą się dzisiaj wznosi, za trzy lata już nie będzie. — Gdy oceniam siebie miarą tego, co potrafię (już nie mówiąc o tym, co za mną nadchodzi: przewrót i niemająca sobie równych odbudowa), bardziej niż jakikolwiek inny śmiertelnik mam prawo do słowa „wielkość”. Gdy porównuję siebie z ludźmi, których dotychczas czczono jako najpierwszych, różnica jest namacalna. Tych rzekomo „najpierwszych” nawet nie zaliczam do ludzi — dla mnie są oni odpadkiem ludzkości, wykwittem choroby i mściwych instynktów: same nieludzkie istoty, zgubne i w gruncie rzeczy nieuleczalne, które mszczą się na życiu... Chcę być przeciwieństwem tego wszystkiego: jest moim przywilejem, że z najwyższą subtelnością dostrzegam wszelkie oznaki zdrowych instynktów. Brak we mnie wszelkich chorobliwych ry-

sów; nawet w czasach ciężkiej choroby nie stałem się chorobliwy; na próżno by w mej istocie szukać cech fanatyzmu. Nigdzie w mym życiu nie da się wykazać aroganckiej czy patetycznej postawy. Patetyczna poza nie należy do wielkości; kto w ogóle potrzebuje póz, ten jest fałszywy... Ostrożnie w stosunku do malowniczych postaci! — Życie stało się dla mnie lekkie, najlżejsze, gdy zażądało czegoś najcięższego. Kto mnie widział podczas siedemdziesięciu dni tej jesieni, gdy bez przerwy dokonywałem rzeczy najwyższej rangi, jakich żaden człowiek nie potrafi dokonać jak ja — czy pokazać mi, jak można ich dokonać — z poczuciem odpowiedzialności za wszystkie tysiąclecia, jakie nadejdą po mnie, ten na mym obliczu nie dostrzegł śladu napięcia, tym bardziej natomiast mógł dostrzec tryskającą ze mnie rzeźkość i pogodę. Nigdy nie jadałem z większą przyjemnością, nigdy lepiej nie sypiałem. — Nie znam innego sposobu obcowania z wielkimi zadaniami niż z a b a w a: jest ona istotnym warunkiem, jako oznaka wielkości. Najmniejszy przymus, posępna mina, srogi ton w ustach są zarzutem przeciw człowiekowi, a jeszcze bardziej przeciw jego dziełu!... Nie można sobie pozwolić na nerwy... Cierpieć z powodu samotności to również zarzut — zawsze cierpiałem jedynie z powodu „mnogości”... W niedorzecznie wczesnych latach, jako siedmiolatek, wiedziałem już, że ludzkie słowo nigdy mnie nie ugodzi: czy kiedykolwiek widziało, bym przez nie był zasmucony? — Jeszcze dziś wszystkich traktuję z taką samą konfidencjonalnością, jestem pełen uszanowania nawet dla najniższych: we wszystkim tym nie ma grama pychy, tajemnej pogardy. Kim gardzę, ten łatwo zgaduje, że go mam w pogardzie: samym swym istnieniem oburzam wszystko, co ma lichą krew w żyłach... Moja formuła ludzkiej wielkości to „*amor fati*”: że człowiek nie chce mieć niczego innego, ani przed sobą, ani za sobą, ani po wiek wieków. Konieczność miłować, a nie tylko znosić czy wręcz tać — wszelki idealizm jest zakłamaniem w obliczu koniecznego...

Dlaczego piszę tak dobre książki

1.

Ja to jedno, moje pisma to drugie. — Zanim powiem o nich samych, niech zostanie poruszona kwestia ich rozumienia czy też nie r o z u m i e n i a. Uczynię to na tyle niedbale, na ile w ogóle przystoi: albowiem jeszcze nie nadeszła jej pora. Jeszcze nie nadeszła moja pora: niektórzy rodzą się *posthum*. — Kiedyś niezbędne okażą się instytucje, w których będą żyć i nauczać tak, jak ja umiem żyć i nauczać; może nawet zostaną stworzone osobne katedry, zajmujące się interpretacją *Zaratustry*. Byłoby całkowicie sprzeczne z moją naturą, gdybym już dziś oczekiwał uszu o r a z r ą k dla m o i c h prawd: że dzisiaj mnie nie słuchają, że dzisiaj nie potrafią ze mnie czerpać, jest nie tylko czymś zrozumiałym, ale i słusznym, jak mi się zdaje. Nie chcę, by mnie brano za kogoś innego — co wymaga, bym ja sam nie brał siebie za kogoś innego. — Jeszcze raz powiadam: w moim życiu niewiele dałoby się wykazać „złej woli”; również literackiej „złej woli” nie umiałbym podać bodaj jednego przykładu. Natomiast zbyt wiele przykładów c z y s t e j g ł u p o t y... Jednym z najbardziej rzadkich wyróżnień, jakie ktoś może sobie przyznać, wydaje mi się ta chwila, gdy do ręki bierze moją książkę — zakładam nawet, że zdejmuje wówczas buty — już nie mówiąc o trzewikach... Gdy dr Heinrich von Stein uskarżał się kiedyś, że z mojego *Zaratustry* nie rozumie ani słowa, powiedziałem mu: wszystko w porządku; zrozumieć — p r z e ż y ć — z niego sześć zdań to wznieść się na wyższy szczebel śmiertelnych, niż mogą „nowocześni” ludzie. Jakże mógłbym, wobec t e g o poczucia dystan-

su, choćby tylko życzyć sobie, by mnie czytali ci „nowocześni”, których znam! — Mój triumf jest właśnie odwrotnością triumfu Schopenhauera — ja mówię: „*n o n legor, n o n legar*”. — Co nie znaczy, żebym nie docenił przyjemności, jaką wielokroć sprawiło mi *n i e w i n n e* negowanie moich pism. Tego lata jeszcze, gdy swą ważką, nazbyt ważką literaturą bodaj zdołałbym wyprowadzić z równowagi całą resztę literatury, pewien profesor berlińskiego uniwersytetu życzliwie dał mi do zrozumienia, że jednak powinienem się posługiwać inną formą: czegoś takiego nikt nie czyta. — Ostatnio nie w Niemczech, lecz w Szwajcarii miały miejsce dwa skrajne wypadki. Artykuł dr. V. Widmanna w „Bund”, o *Poza dobrem i złem*, zatytułowany *Niebezpieczna książka Nietzschego*, oraz przegląd mych dzieł, przez pana Karla Spittelera, również w „Bund”, oznaczają w moim życiu maksimum — wolę nie mówić, czego... Ten ostatni na przykład *Zaratustrę* potraktował jako „wyższe ćwiczenie stylistyczne”, życząc mi, bym się zechciał jednak zatroszczyć również o treść; dr Widmann dał wyraz swemu szacunkowi dla odwagi, z jaką staram się usunąć wszelkie przyzwoite uczucia. — Dzięki drobnej perfidii przypadku każde zdanie, z konsekwencją, która napawała mnie podziwem, było tam prawdą postawioną na głowie: w istocie wystarczyło wszystkie „wartości przewartościować”, by nawet w godny podkreślenia sposób trafić w dziesiątkę — zamiast we mnie trafić dziesiątkami zarzutów... Tym bardziej pokuszę się o wyjaśnienie. — Ostatecznie nikt nie potrafi z rzeczy, a także z książek, wysłyszeć więcej, niż sam już wie. Brakuje nam ucha dla czegoś, do czego brakuje nam dostępu od strony naszych własnych przeżyć. Wyobraźmy sobie skrajny sytuację: że jakaś książka mówi jedynie o przeżyciach, których niepodobna często czy choćby nawet tylko sporadycznie doświadczać — że jest *p i e r w s z y m* językiem dla nowej grupy doświadczeń. W takim wypadku czytelnik po prostu niczego nie słyszy, mając przy tym złudzenie akustyczne, że gdzie niczego nie słyhać, tam również *n i c z e g o n i e m a*... W ostatecznym rozrachunku taki charakter ma moje przeciętne doświadczenie i, jeśli chcecie, *o r y g i n a l*

n o ś ć mojego doświadczenia. Kto sądzi, że coś ze mnie zrozumiał, ten coś sobie ze mnie sporządził na własny obraz — niezadko moje przeciwieństwo, na przykład „idealistę”; kto niczego ze mnie nie rozumiał, ten zaprzeczył, bym w ogóle zasługiwał na uwagę. — Słowo „*n a d c z ł o w i e k*” jako oznaczenie typu najwyższej udatności, przeciwstawione „nowoczesnym” ludziom, „dobrym” ludziom, chrześcijanom i innym nihilistom — słowo, które w ustach Zaratustry, *u n i c e s t w i c i e l a* moralności, staje się nader zastanawiającym słowem, niemal wszędzie rozumiano, z całą niewinnością, w sensie tych wartości, których przeciwieństwo ukazała postać Zaratustry, to znaczy jako „idealistyczny” typ wyższego rodzaju człowieka, jako na poły „świętego”, na poły „geniusza”... Inny uczony baran podejrzewał mnie z powodu tego słowa o darwinizm; rozpoznano w nim nawet tak kąśliwie przeze mnie odrzucany „kult herosów”, jaki głosi ów wielki fałszerz mimo woli i wiedzy, Carlyle. Komu szepnąłem na ucho, by się rozejrzał raczej za Cesare Borgią niż za Parsifalem, ten nie dowierzał własnym uszom. — Musicie mi wybaczyć, że zupełnie nie jestem ciekaw omówień swych książek, zwłaszcza w czasopiśmie. Moi przyjaciele, moi wydawcy wiedzą o tym i nie donoszą mi o takich publikacjach. W jednym wypadku zapoznałem się ze wszystkim, co zgrzeszono na temat konkretnej książki — *Poza dobrem i złem*; musiałbym o tym złożyć niezły raport. Czy można uwierzyć, że „Nationalzeitung” — pruskie czasopiśmo, dla wiadomości mych zagranicznych czytelników, ja sam, za pozwoleniem, czytuję jedynie „Journal des Débats” — z całą powagą rozumiało tę książkę jako „znak czasów”, jako autentyczną *f i l o z o f i ę j u n k i e r s k ą*, do jakiej dziennikarzom „Kreuzzeitung” ma brakować tylko odwagi?...

2.

Powyższe słowa kierowały się do Niemców: bo wszędzie indziej mam czytelników — same *w y b o r n e* umysłowości, wypróbowane charaktery, wychowane na wysokich stanowiskach i dzięki wysokim obowiązkom; wśród swych czytelników mam

nawet prawdziwych geniuszy. W Wiedniu, w St. Petersburgu, w Sztokholmie, w Kopenhadze, w Paryżu i Nowym Jorku — wszędzie mnie odkryto: n i e odkryto mnie w Niemczech, na tej europejskiej równinie... By wyznać, jeszcze bardziej cieszę się z tych, którzy mnie nie czytają, z tych, którzy nigdy nie słyszeli ani mojego nazwiska, ani słowa „filozofia”; ale dokądkolwiek przybędę, na przykład tutaj, w Turynie, na mój widok twarze wszystkich stają się pogodne i dobrotliwe. Najbardziej pochlebiało mi dotychczas, że stare przekupki nie ustają, zanim nie znajdą dla mnie najśłodszych winogron. T a k d a l e c e trzeba być filozofem... Nie daremnie nazywa się Polaków Francuzami wśród Słowian. Uroczą Rosjanka ani przez moment się nie pomyli, skąd wiodę ród. Nie udaje mi się przybrać uroczystej pozy, co najwyżej popadam w zakłopotanie... Myśleć po niemiecku, odczuwać po niemiecku — wszystko potrafię, a l e t o przerasta me siły... Mój stary nauczyciel Ritschl twierdził wręcz, że nawet swe rozprawy filologiczne układam jak paryski *romancier* — z wprost niedorzecznym napięciem. Nawet w Paryżu są zdumieni „*toutes mes audaces et finesses*” — wyrażenie *monsieur* Taine’a; obawiam się, że aż po najwyższe formy dytyrambu można u mnie znaleźć domieszkę owej soli, która nigdy nie staje się durna — „niemiecka”: *esprit*... Nie mogę inaczej. Niech Bóg mi pomoże! Amen. — Wszyscy wiemy, niektórzy nawet z doświadczenia, czym jest długouch. Śmiem twierdzić, że mam najmniejsze uszy. Dla kobietek jest to wcale interesujące — odnoszę wrażenie, że czują się przeze mnie lepiej rozumiane?... Jestem a n t y o s ł e m *par excellence*, a tym samym epokowym monstrem — jestem, mówiąc z grecka i nie tylko z grecka, a n t y c h r y s t e m...

3.

W pewnej mierze znam swe pisarskie prerogatywy; w konkretnych przypadkach poświadczono mi również, jak bardzo smak ulega „zepsuciu”, gdy nawyknę do moich pism. Po prostu nie sposób już wytrzymać innych książek, zwłaszcza filozoficznych. Gdy ktoś wkracza w ten dostojny i delikatny świat, dostępuje

wyróżnienia, jakie nie ma sobie równych — by go dostąpić, w żadnym razie nie można być Niemcem; wreszcie, na wyróżnienie to trzeba sobie zasłużyć. Ale kto jest mi pokrewny dzięki równie w y s o k i e j woli, ten przeżywa wówczas prawdziwą ekstazę poznania: albowiem przybywam z wyżyn, w jakie żaden ptak się nigdy nie wzbil, i znam otchłanie, w jakie nie zabląkała się jeszcze żadna stopa. Mówiono mi, że od moich książek niepodobna się oderwać — że zakłócam nawet spoczynek nocny... Nie ma bardziej dumnego, a zarazem bardziej wyrafinowanego rodzaju książek — tu i ówdzie osiągają one najwyższą rzecz, jaką można osiągnąć na ziemi: cynizm; trzeba je dla siebie zdobywać tyleż najdelikatniejszymi palcami, co najdzielniejszymi pięściami. Wszelka ułomność duszy, nawet niestrawność, wyklucza, raz na zawsze: nie można być nerwowym, trzeba mieć radosne podbrzusze. Wykluczają nie tylko ubóstwo, zaściankowa atmosfera duszy, znacznie bardziej jeszcze wykluczają tchórzostwo, niechlujstwo, potajemna mściwość w trzewiach: jedno moje słowo wydobywa z ukrycia wszelkie złe instynkty. Wśród znajomych mam parę królików doświadczalnych, dzięki którym poznaję różnorakie, pouczająco różnorakie reakcje na moje pisma. Kto nie chce mieć nic do czynienia z ich treścią, jak na przykład moi tak zwani przyjaciele, zaczyna mówić „bezosobowo”: życzy mi, żebym znów sięgnął „tak daleko” — i uzyskał bardziej pogodny ton... Zdrożne „duchy”, „piękne dusze”, ludzie do cna zakłamanii, zupełnie nie wiedzą, co począć z tymi książkami — zatem uważają, że są p o n a d nimi: piękna konsekwencja każdej „pięknej duszy”. Barany pośród mych znajomych, Niemcy i nic nadto, za pozwoleniem, dają do zrozumienia, że nie zawsze są mojego zdania, niemniej czasami, na przykład... Coś takiego słyszałem nawet o *Zaratuście*... Również wszelki „feminizm” w człowieku, także w mężczyźnie, zamyka bramę do mnie: ktoś taki nigdy nie wkroczy do tego labiryntu zuchwałego poznania. Nigdy nie można było siebie oszczędzać, wśród swych nawyków trzeba mieć s r o g o ś ć, by między samymi srogimi prawdami być różnym i pogodnym. Gdy próbuję sobie wyobrazić doskonałego czytelnika, zawsze wycho-

dzi mi monstrum odwagi i ciekawości, ponadto coś elastycznego, szczwanego, ostrożnego — urodzony odkrywca i łowca przygód. Ostatecznie powiedziec, do kogo przemawiam, nie potrafiłbym lepiej, niż powiedział Zaratustra: k o m u chce on opowiedzieć swą zagadkę?

Wam, śmiałym poszukiwaczom, kusicielom, i każdemu, kto kiedykolwiek pod szczwanymi żaglami wypłynął na straszliwe morze —

wam, pijanym zagadkami, radosnym z półmroku, których duszę flety wabią we wszelką czeluść:

— albowiem nie chcecie tchórzliwą ręką wymacywać nici; a gdzie potraficie z g a d y w a ć, tam nienawidzicie w n i o s k o w a ć...

4.

Ogólnie powiem jeszcze o mojej s z t u c e s t y l u. Stan, patetyczne napięcie wewnętrzne p r z e k a z a ć za pomocą znaków, w tym także za pomocą ich tempa: na tym polega sens wszelkiego stylu; zważywszy, że wielość stanów wewnętrznych jest u mnie nadzwyczajna, dysponuję wieloma możliwościami stylu — w ogóle najbardziej wieloraką sztuką stylu, jaką kiedykolwiek dysponował jakiś człowiek. D o b r y jest każdy styl, który rzeczywiście przekazuje jakiś stan wewnętrzny i nie chybia co do znaków, co do tempa znaków, co do g e s t ó w — wszelkie prawidła okresu zdaniowego są sztuką gestu. Mój instynkt jest tu nieomylny. — Dobry styl s a m w s o b i e — c z y s t a g ł u p o t a, „idealizm”, tak jak „piękno s a m o w s o b i e”, jak „d o b r o s a m o w s o b i e”, jak „rzecz s a m a w s o b i e”... Stale przy założeniu, że nie brakuje uszu — że nie brakuje takich, którzy są zdolni do podobnego patosu i godni podobnego patosu, że są ludzie, którym m o ż n a siebie przekazać. — Na przykład *Zaratustra* wciąż jeszcze szuka takich — ach! długo jeszcze będzie musiał szukać! — Czytelnik musi być w a r t s ł u c h a ć *Zaratustry*... Do tego czasu nie będzie nikogo, kto by pojął s z t u k ę, która została tam strwoniona: nikt nigdy nie miał

do strwonienia tylu nowych i niesłychanych środków artystycznych, które rzeczywiście zostały stworzone dopiero dla tego dzieła. Należało dowieść, że coś takiego jest możliwe właśnie w języku niemieckim: ja sam wcześniej z największą srogością bym temu przeczył. Przede mną nie wiedziano, czego można dokonać za pomocą języka niemieckiego — czego można w ogóle dokonać za pomocą języka. — Dopiero ja odkryłem sztukę w i e l k i e g o rytmu, w i e l k i s t y l okresu zdaniowego, służący wyrażeniu wzniosłej, nadludzkiej namiętności, która wzbiera i opada; jednym dytyrambem, takim jak ostatni w trzeciej części *Zaratustry*, zatytułowany „Siedem pieczęci”, wleciałem tysiące mil ponad wszystko, co dotychczas zwało się poezją.

5.

— Że w moich pismach przemawia p s y c h o l o g, który nie ma sobie równych, to bodaj pierwsza konstatacja, do jakiej dochodzi dobry czytelnik — czytelnik, na jakiego zasługuję, czytelnik, który mnie czyta w taki sposób, jak starzy, dobrzy filologowie czytali Horacego. Tezy, co do których w istocie zgodny jest cały świat, już nie mówiąc o filozofach całego świata, moralistach i innych pustych garncach, kapuścianych głowach — u mnie jawią się jako naiwne błędy: na przykład owa wiara, że „egoistyczny” i „nieegoistyczny” są przeciwieństwami, podczas gdy samo ego jest „wyższym szachrajstwem”, „ideałem”... Nie ma a n i egoistycznych, a n i nieegoistycznych postępków: oba pojęcia są nonsensem psychologicznym. Albo teza: „człowiek dąży do szczęścia”... Albo teza: „szczęście jest nagrodą za cnotę”... Albo teza: „przyjemność i nieprzyjemność są przeciwieństwami”... Kirke ludzkości, moralność, do cna zafałszowała — z m o r a l i z o w a ł a — wszelką *psychologica*, aż po ten koszmarny absurd, że miłość powinna być „nieegoistyczna”... Trzeba się mocno zaprzeczyć w s a m y m s o b i e, trzeba dzielnie stać na obu nogach, bez tego w ogóle nie m o ż n a darzyć miłością. Aż nazbyt dobrze wiedzą to kobiety: którym na diabła altruistyczny, czysto obiektywny mężczyzna... Czy wobec powyższego wolno się mi ważyć

na przypuszczenie, że z n a m kobietki? Ich znajomość należy do mego dionizyjskiego posagu. Kto wie? może jestem pierwszym psychologiem wiecznej kobiecości. Wszystkie darzą mnie miłością — stara historia: pominąwszy u n i e s z c z ę ś l i w i o n e kobietki, „emancypantki”, którym brakuje smykałki do dzieci. — Na szczęście nie mam ochoty, by mnie rozszarpały: prawdziwa kobieta rozszarpuje, gdy darzy miłością... Znam te milutkie menady... Ach, jakież to niebezpieczne, skradające się, podziemne zwierzątko drapieżne! A przy tym tak przyjemne!... Mała kobietka, która nosi się z zemstą, w puch rozniosłaby samo przeznaczenie... W kobiecie jest niewymownie więcej zła niż w mężczyźnie, a także więcej roztropności; u kobiety dobroć jest już formą z w y r o d n i e n i a... Tak zwane piękne dusze na dnie zawsze kryją jakąś niedomogę fizjologiczną — nie powiem wszystkiego, bo stałbym się „medycyniczny”. Walka o r ó w n e prawa jest wręcz symptomem choroby: wie to każdy lekarz. — Wszak kobieta, im bardziej jest kobietą, rękami i nogami broni się przed prawami w ogóle: stan naturalny, odwieczna w o j n a płci, zapewnia jej zdecydowanie najwyższą rangę. — Czy miał kto ucho dla mojej definicji miłości? jedynej definicji, jaka jest godna filozofa. Miłość — wojna, jeśli chodzi o jej środki, i śmiertelna nienawiść między płciami, jeśli chodzi o jej podstawy. — Czy posłyszał kto moją odpowiedź na pytanie, jak się l e c z y — „wybawia” — kobietę? Robi się jej dziecko. Kobieta potrzebuje dziecka, mężczyzna zawsze jest tylko narzędziem: tak rzekł Zaratustra. — „Emancypacja kobiety” — instynktowna nienawiść kobiety n i e u d a t n e j, to znaczy niezdolnej rodzić, do udatnej — walka przeciwko „mężczyźnie” zawsze jest tylko narzędziem, przykrywką, taktyką. Podnosząc s i e b i e, jako „kobietę samą w sobie”, jako „wyższą kobietę”, jako kobietą „idealistkę”, kobiety chcą o b n i ż y ć ogólną rangę kobiet; nie ma tu pewniejszego środka nad wykształcenie gimnazjalne, spodnie i prawa polityczne wyborczej trzody. Emancypantki w istocie rzeczy są a n a r c h i s t k a m i w świecie „wiecznej kobiecości”, pokrzywdzonymi, których najniższy instynkt stanowi zemsta... Cały gatunek najbardziej złośli-

wego „idealizmu” — który zresztą występuje również u mężczyzn, na przykład u Henrika Ibsena, typowej starej panny — chce zatruć spokojne sumienie, naturę w miłości płciowej, to jest jego celem... By nie pozostawić wątpliwości co do mojego tyleż *bonette*, co ścisłego pod tym względem zapatrywania, przytoczę jeszcze zdanie ze swego kodeksu moralnego przeciw z d r o ż n o ś c i: słowem „zdrożność” zwalczam wszelkiego rodzaju sprzeczność z naturą czy też idealizm, jeśli kto kocha piękne słówka. Zdanie to brzmi: „nawoływanie do czystości płciowej jest publicznym podżeganiem do sprzeczności z naturą. Wszelkie pogardzanie życiem płciowym, wszelkie brukanie go pojęciem «nieczysty» jest zbrodnią na życiu — jest prawdziwym grzechem przeciwko Duchowi Świętemu Życia”. —

6.

By dać pojęcie o sobie jako psychologa, przytoczę z *Poza dobrem i złem* ciekawą próbkę psychologii — notabene zabraniam snucia wszelkich domysłów na temat istoty, którą opisuję w tym fragmencie. „Geniusz serca, obecny w wielkim Ukrytym, w bogu-kusicielu i urodzonym werbowniku sumień, którego głos potrafi zstąpić do podziemi każdej duszy, którego każde słowo, każde spojrzenie chce wabić, który po mistrzowsku umie ukazywać — nie to, czym jest, lecz to, co dla postępujących za nim jest jeszcze jednym powodem, by ku niemu coraz bliżej podążać, coraz bardziej wewnątrz i radykalnie postępować za nim... Geniusz serca, który wszystko, co głośnie i zadufane, zmusza, by zaniemówiło, i uczy słuchać, który wygładza szorstkie dusze i pozwala im zakosztować nowego pragnienia — pragnienia bezruchu, by jak w zwierciadle mogła się w nich odzwierciedlać głębia nieboskłonu... Geniusz serca, który niezdarną i nazbyt skorą rękę uczy zwłoki i zgrabniejszego chwytu; który odgaduje ukryty i zapomniany skarb, kroplę dobroci i słodkiej duchowości pod mętłym, grubym lodem i jest różdżką, co wykrywa każde ziarno złota, jakie długo leżało uwięzione pośród szlamu i piasku... Geniusz, pod którego dotykem każdy się staje bogatszy, ale nie jak

ktoś obdarzony łaską, nie jak ktoś uszczęśliwiony i przygnieciony cudzym dobrem, lecz w samego siebie bogatszy, dla siebie nowszy niż przedtem, otwarty, owiany i wysłuchany przez wiatr odwilży, może bardziej niepewny, bardziej delikatny, bardziej kruchy i skruszony, ale pełen nadziei, które nie mają jeszcze nazwy, pełen nowej chęci i nowego napływu sił, pełen nowej niechęci i nowego odpływu sił...”

Narodziny tragedii

1.

By wobec *Narodzin tragedii* (1872) być sprawiedliwym, trzeba zapomnieć o kilku sprawach. Książka o d d z i a ł y w a - ł a, a nawet fascynowała, czymś, co było w niej chybione — swym odniesieniem do w a g n e r y z m u, tak jakby stanowił on symptom w s c h o d z ą c e g o życia. Właśnie dzięki temu była wydarzeniem w życiu Wagnera: dopiero od tej chwili z jego nazwiskiem zaczęły się wiązać wielkie nadzieje. Jeszcze dziś mi przypominają, czasem z powodu *Parsifala*, jak to właściwie ja mam na sumieniu, że górę wzięło tak wysokie mniemanie o w a r - t o ś c i k u l t u r a l n e j tego ruchu. — Książkę niejednokrotnie cytowano jako *Odrodzenie tragedii z ducha muzyki*: uszy były otwarte jedynie na nową formułę sztuki, zamysłu, z a - d a n i a W a g n e r a — nie dosłyszano cennych myśli, jakie książka zawiera u swych podstaw. „Grecy i pesymizm”: to byłby jednoznaczny tytuł, jako pierwsze pouczenie o tym, w jaki sposób Grecy radzili sobie z pesymizmem — czym go p r z e z w y - c i ę z a l i... Tragedia właśnie jest dowodem, że Grecy n i e byli pesymistami: Schopenhauer pomylił się tutaj, tak jak we wszystkim. — *Narodziny tragedii*, jeśli na nie patrzeć z pewną neutralnością, jawią się jako nader niewczesne: nikomu by nawet nie

przyszło do głowy, że j e r o z p o c z ą ł e m wśród huków bitwy pod Wörth. Problematykę przemyślałem pod murami Metz, w chłodne noce wrześniowe, pełniąc służbę sanitarną; można by sądzić raczej, że książka jest o pięćdziesiąt lat starsza. Politycznie jest indyferentna — „nieniemiecka”, jak by dziś powiedziano — nieprzyzwoicie zalatuje Heglem, jedynie w kilku sformułowaniach trąci grobowym pachnidłem Schopenhauera. „Idea” — przeciwieństwo „dionizyjski” i „apolliniński” — przełożona na język metafizyki; same dzieje jako rozwój tej „idei”; w tragedii przeciwieństwo wzniesione na poziom jedności; z tego punktu widzenia sprawy, które jeszcze nigdy nie stały wobec siebie twarzą w twarz, nagle skonfrontowane, oświetlone i p o j ę t e jedna poprzez drugą... Na przykład opera i rewolucja... Dwoma decydującymi n o w o ś c i a m i tej książki są, po pierwsze, zrozumienie fenomenu d i o n i z y j s k i e g o u Greków: podaję jego pierwszą psychologię, widzę w nim wspólny korzeń całej sztuki greckiej. Po drugie, zrozumienie sokratyzmu: Sokrates po raz pierwszy rozpoznany jako narzędzie greckiego rozkładu, jako typowy dekadent. „Rozumność” p r z e c i w instynktowi. „Rozumność” za wszelką cenę jako niebezpieczna władza, jako władza, która podkopuje życie! — W całej książce głębokie, wrogie milczenie w kwestii chrześcijaństwa. Chrześcijaństwo nie jest ani apollinińskie, ani dionizyjskie; n e g u j e wszelkie wartości e s t e t y c z n e — jedyne wartości, jakie akceptuję w *Narodzinach tragedii*: jest w najgłębszym sensie nihilistyczne, podczas gdy w symbolu dionizyjskim osiągnięta zostaje ostateczna granica a f i r m a c j i. W jednym miejscu napomykam o kapłanach chrześcijańskich jako „perfidnym rodzaju karłów”, „podziemnych istot”...

2.

Początek ten ze wszech miar zasługuje na uwagę. Dla swego najbardziej wewnętrznego doświadczenia o d k r y ł e m nie-równaną metaforę i jej odpowiednik — tym sposobem jako pierwszy pojąłem cudowny fenomen dionizyjskości. A rozpoznając w Sokratesie dekadenta, dałem jednoznaczny dowód, że pewności moje-